

jąc w ten sposób konstytucyjną odpowiedzialnością jego pracę i jego żądania.

Wobec tego, że wszystkie starania w kierunku ustalenia zakresu działania najwyższych władz wojskowych nie wydały dotąd konkretnych wyników, a brak takiego oficera, jako wyobraziciela wojska, wpływa demoralizująco na wojsko, żądam przywrócenia mocy mojemu dekretowi o «organizacji najwyższych władz wojskowych» z dnia 7 stycznia 1921 r.¹⁾, który wydałem jako Naczelny Wódz w czasie stanu wojny, a który to dekret utracił moc obowiązującą wskutek uchylecia go z chwilą mojego ustąpienia ze służby wojskowej.

Józef Piłsudski
Marszałek Polski.

MOWA NA ZJEŹDZIE LEGIONISTÓW W KIELCACH

(8 sierpnia 1926 r.)

Zjazd legionistów, zwoływany corocznym zwyczajem w rocznicę aktu 6 sierpnia, odbywał się w 1926 r. w Kielcach. Wziął w nim udział Piłsudski, który dnia 8 sierpnia 1926 r. wygłosił w sali kina «Fenomen» niżej przytoczony odczyt.

W pierwszej części odczytu Piłsudski zestawia los uczestników naszych powstań z losem legionistów. Uczestnicy powstań mieli większe niż legioniści prawa żywić nadzieje w powodzenie swoich ruchów a doznali zawodu. Mniej nadziei na dopięcie swoich celów światało legionistom — a los okazał się dla nich o wiele łaskawszy.

W drugiej części odczytu Piłsudski podnosi, że legioniści mieli w odróżnieniu od reszty społeczeństwa odwagę myśli i odwagę w swej pracy i dali na sobie przykład, że te zalety mogą wbrew ostrzeżeniom ludzi «rozsądnych» dawać sukcesy.

Wydawcy t. IX. «Pism — Mów — Rozkazów» odczyt ten kielecki podali w tej formie, w jakiej został on streszczony przez ówczesnych sprawozdawców prasy stołecznej. W papierach K. Świtalskiego znalazł się stenogram tego odczytu. Z porównania stenogramu ze streszczeniami okazało się, że były one wyjątkowo nieudolne. Z natury rzeczy w streszczeniach zginął styl Piłsudskiego, zgubione zostały piękne jego wyrażenia i zwroty. To było do wybaczenia. Gorzej, że bardzo wiele myśli zostało streszczonych zupełnie niejasno, a w bardzo wielu miejscach, zwłaszcza w pierwszej części mowy, sens myśli został wypaczony. Najgo-

¹⁾ Por. t. VIII, str. III—V.

rzej — że wskutek po prostu niedostyszenia wkradły się nonsensy. Tak na przykład Piłsudski mówił o miejscowości «Książ», sprawozdawca przesłyszał się i stąd w streszczeniach mowa o jakimś księdzu, który miał dawać gościnę legionistom w zamku Wielopolskich.

Dlatego oparliśmy się w obecnym wydaniu na tekście stenogramu, który był dobrze zrobiony i wymagał niewielkiego opracowania stylistycznego.

O powodach, dlaczego przemówienia Piłsudskiego dostawały się do prasy nie według stenogramów, a w streszczeniach sprawozdawców dziennikarskich, mowa jest we wstępie do niniejszego tomu.

Szanowne panie i szanowni panowie! Przemawiam do was w Kielcach, w mieście, do którego dziś — naszym ongiś szlakiem, szlakiem kadrówki — biegną dziesiątki i dziesiątki młodzieży¹⁾. Kielce, może bez swej chęci, związane są z nami i z naszymi dziejami tak silnie i tak nierozłącznie! Dlatego może to wydaje się dziwne, a jednak jest prawdziwe, że jadąc do Kielc i będąc dziś w nich, oswobodzić się nie mogę od pewnych myśli. Kielce bowiem wiążą się z osobistymi losami prawie każdego z tych, którzy dwanaście lat temu wyszli ze mną z Krakowa. Bo losy Legionów, losy legionistów nie należą do zwykłych losów, ani do przeciętnych prawd życiowych.

Więc wspominając, myślałem, że kiedy ongiś, dwanaście lat temu, jeszcze w Jędrzejowie zatrzymywałem bieg naszych kadrówek²⁾, gdy jeszcze w Chęcinach wahałem się czy dać rozkaz wmaszerowania do Kielc naszej awangardzie — nie przypuszczałem, że w cztery i coś lat potem w tym samym mundurze strzeleckim, który ongiś nosiłem, przyjmować będę posłów zagranicznych, składających pokłon przedstawicielowi naszego Państwa. Gdy w Chęcinach chwiałem się w swej decyzji, widząc przed sobą bieg wrogiej dywizji kawalerii³⁾, która świeżo moją drogę przecięła, nie przypuszczałem wtedy nigdy, że za cztery, pięć, sześć lat dowodzić będę armią polską, bijącą za każdym razem armię nieprzyjacielską.

Tak silnie, tak nierozłącznie wiąże się praca naszych Legionów z przewrotem osobistego życia prawie że każdego z legionistów. Każdy z nich stawał się w tej pracy, którą przeszliśmy, innym człowiekiem, stawał się jakby z poczwarki motylem.

¹⁾ Mowa o odbywających się z okazji zjazdu legionowego zawodach drużyn strzeleckich na szlaku Kraków—Kielce.

²⁾ Oddziały Piłsudskiego przebywały w Jędrzejowie w dniach 9—11 sierpnia 1914 r.

³⁾ Mowa o 14 dywizji kawalerii rosyjskiej gen. Nowikowa.

Kielce są tak wyjątkowo drogie myślom i wspomnieniom wielkiej części legionistów, bo tu był pierwszy pocałunek wojny, bo tu był pierwszy krok do awantur naszych girlandy.

I dlatego tak jasno, tak wyraziście stają przed wieloma z was jak i przede mną wszystkie wspomnienia, wszystkie myśli i wszystkie przeżycia tych chwil, kiedy szlakiem kadrówki biegliśmy hen z dalekiego Krakowa do kieleckich murów.

Opanowany tymi wspomnieniami, o nich jedynie i o tych przeżyciach, które wtedy miałem, chcę dziś mówić.

Oto jedno z najżywszych wspomnień, które dotąd stoi mi przed oczyma. Idąc z awangardą, rzucałem za sobą etapy, by gros moich sił miało gdzie się zatrzymać, gdzie zjeść i gdzie odpocząć po marszach. Jednym z tych naszych etapów na drodze od Miechowa był Książ Wielki. Ma on pamiątkę w postaci dużego, starego zamczyska margrabiów Wielopolskich¹⁾. W tym zamku rozkładali się teraz nowi obozownicy, przypominając ubiegłe dawne czasy. Spędziłem w nim wtedy niejedną godzinę i bezwiednie przypominały się w nim i rzucały mi się przed oczy obrazy, tak znane mi z opowiadań słuchanych w dzieciństwie, jak to ojcowie nasi szli tymi samymi szlakami, którymi i my swoje drogi zaczynaliśmy.

I zdawało mi się nieraz, że z murów zamczysk powstawała, jak upiorne zjawisko, wielka postać magrabiiego Wielopolskiego, tego, który ojców naszych okrutnym był nieraz przeciwnikiem, zwalczającym, zresztą bezskutecznie, ich dążenia powstańcze. I zdawało mi się, że ta wielka twarz nalana patrzy na mnie, wodza nowych powstańców, wykrzywia się ku mnie jakimś złym uśmiechem i mówi tak, jak niegdyś ojcom naszym mówiła: Jacy wy mali!

Jak mała i jak nikoma była ta siła, którą rozporządzałem. Wydawać się mogło, że niepodobna, by tak mała siła wielkie skutki w dziejach Ojczyzny wyrzuciła w stan. Ta chwila wahania, ta trudność spojrzenia naprzód z otuchą, z odwagą, z jakimś przekonaniem, że nie zginie się tylko marnie na tym wielkim poboju, który świat cały wtedy gotował, — ten ciężar duszy, który legł prawie na każdym z nas bardziej myślącym, pozostał mi żywym bardzo silnym wspomnieniem.

Wyciągnąłem wtedy z moich dalekich wspomnień, moje sybirskie przeżycia myśliwskie, gdy strzelbą się bawiłem, włócząc się po tajgach. Dla myśliwego ważna jest pora zórz. Powstają one wtedy, gdy słońce ma zejść i wtedy gdy słońce zagasza. Są zorze poranne i wieczorne. Ileż tych zórz czekałem

¹⁾ Zamek Wielopolskich stoi, ściśle biorąc, w miejscowości Mirów.

niecierpliwą myślą, ileż ich przeżyłem, przebiegając dalekie puszcze sybirskie. Dziwne są złudy, dziwne są uludy w grze światła i cieni, kładących się wtedy, gdy słońce znika, i wtedy, gdy wstaje. A tak te zorze poranne i wieczorne są do siebie podobne, tak gra światła jednakowo mówi, tak gra cieni jednakowo szepce. Uluda zórz wieczornych, uluda zórz porannych. Świat wówczas inaczej wygląda, bardziej tajemniczo. I pewności nie ma, czy to zorza wieczorna gaśnie, czy zorza poranna wstaje. Te same zjawiska w przyrodzie, te same światła, te same cienie. Pali się niebo, a nie ma słońca życiodajnego. Palą się światła szkarłatem i purpurą. Szepce przyroda o nowych rzeczach, które nastąpią. Jest jakby ta sama prawda zórz wieczornych i zórz porannych.

Wszystko, co słabe wśród stworzeń, wszystko, co niemocne, ucieka, chowa się od krwiożerczych przesładowców. Drapieżnicy nocy są inni, a inni drapieżnicy dnia. Inne ofiary zbierają i inaczej czynią swe rozprawy ze słabymi.

Słabe stworzenia wołają noc. Lepiej chowają się w ciemności, lepiej kryją się przed drapieżcami, lepiej unikają prawdy przemocy.

Ja, jako człowiek drapieżca, biegnący ze strzelbą, która prześciga lotnego ptaka swym pociskiem, a chyżością swego pocisku prześciga chyżość zwierząt — jako drapieżca wśród innych drapieżców siadałem nieraz zadumany nad wielką prawdą zórz wieczornych i zórz porannych. Nie ma słońca, a niebo się jednak pali, a światło istnieje. Złuda prawdy zórz porannych i zórz wieczornych, mieszcząca się w prawdzie cieni i w prawdzie światła.

Ileż tych zórz porannych i zórz wieczornych przeżyła również i ludzkość cała i nasza ojczyzna. Ileż ulud, ileż złud ludzkość przeżyła, gdy słońca nie było, a światłem niebo się paliło.

I gdy, idąc ku Kielcom, biegłem wspomnieniem ku naszej smutnej przeszłości, czułem zorzę wieczorną, co zachodzi z gaśnięciem dnia, noc dając wszystkiemu. I wspominałem ojców naszych i dziadów, którzy ongiś wiosnę swoją w zorzach przechodzili i chcieli wierzyć, że zorze, które okazały się wieczornymi, porannymi były.

Hen, gdzieś na rubieży istnienia Polski dawnej, wyrasta dziwnie wielkie imię. Imię, któremu kurhany stawiają, imię, które dziecku małemu powtarza się jako imię wielkie i znajome — imię Tadeusza Kościuszki. Słońce zapadło i skryło się na długo, a On i Jego ludzie nie chcieli wierzyć, że słońce zagasło. Swoją wielką wiosnę życia spędzili oni, jak my, gdy bez światła, bez słońca życiodajnego bieглиśmy w dniach sierp-

niowych w uludę zorzy, która i dla nas mogła być tylko zorzą wieczorną, choć okazała się później, że była poranną.

Te same im, co nam, towarzyszyły zjawiska. Ta sama była prawda światła i prawda cieni. Tak samo jak ich — nas przeklinał rozsądek, tak samo jak Kościuszcze, nam rzucano w oczy oszczerstwa, tak samo jak ich — nas niemoc deptała i mieszała z błotem.

I raz po raz coraz to innym pokoleniom los jakby okrutny zapalał na naszym niebie zorze, by uludy i złudy rozsiewać.

Przyszedł rok 1812. Część Polski była wolną. Wielki człowiek nie nasz, lecz obcy — Napoleon wskrzeszał Polskę i szedł z ogromnym wojskiem przez nią jak długa i szeroka gdzieś na wschód — daleko. Palily się wtedy zorze szkarłatne na horyzoncie. Rozum nie chciał ich widzieć. A mimo to szli nasi pradziadowie walczyć i ginąć na Litwie i pod Moskwą. I znowu z tego okresu zostało wielkie imię, któremu obecnie pomniki stawiają, czyniąc go ojcem honoru i ojcem ojczyzny¹⁾.

I przyszło nowe pokolenie i znowu zapaliły się zorze 1830 r. Pokolenie całe rzuciło się w wir wojny, w której klęskę poniosło. A zorze paliły się szkarłatnym rumieńcem na niebie, ludzie wierzyli w uludę zórz tak pięknych, tak rumianych. Szkarłatem barwiły się rabaty, szli do boju chłopcy, jak malowanie. A zorze były — wieczorne.

I znowu idzie nowe pokolenie. Znowu mamy w r. 1863 tę prawdę zórz wieczornych. Noc uludy zamiast słońca na horyzoncie naszym.

Ileż więc złud oszukańczych, ileż mamideł mieliśmy my już za sobą, gdy w dni sierpniowe 1914 r. ruszyliśmy szlakiem z Krakowa do Kielc. Świat cały stawał w stal zakuty, świat cały rzucał wtedy miliony prawd wojny — a my byliśmy tak mali. Powstawała dla nas uluda światła bardziej mglisto, niż ongiś. Szerzej kładły się cienie, a smugi światła były rzadsze. Garść zapomnianych ulud, siły za sobą nie mających. I w tym wahanii mamideł zórz wieczornych i porannych przeżyliśmy długie lata naszego życia.

Gdy nieraz porównuję pracę naszą z pracą naszych ojców i dziadów, mam zawsze pewne westchnienie zazdrości i poczucie tryumfu. Westchnienie zazdrości wyrzywa mi się dlatego, że my pracowaliśmy w znacznie chłodniejszej atmosferze, niż to było udziałem naszych ojców. Gdy suche cyfry przeliczyć, gdy naga i twardą prawdę sobie w oczy rzucić, to wiadomo, że udział Polaków w Legionach był procentowo znacznie mniej-

¹⁾ Mowa o ks. Józefie Poniatowskim.

szy, niż udział Polaków przy wszelkich innych próbach powstań w przeszłości. Chłodniejsza więc aura była dla nas, niż dla tych, co ongiś innymi szlakami biegli ku słońcu.

Gdy zmierzyć przestrzeń czasu, którą przetrzymać trzeba było, to znowu my mamy za sobą dłuższą Golgotę, niż oni. Tamte zapasy kończyły się w rok, w półtora — nasze trwały cztery długie lata. I zorza nasza paliła się na horyzoncie tak chwiejnie, tak mglisto nieraz, iż zdawało się, że ciemna noc zaraz nastąpić musi. Potwierdza to, co już mówiłem, że uluda i złuda była u nas większa, niż u tych, którzy, łudząc się, szli w noc niewoli.

Przeżyliśmy cztery długie lata męczarni, podczas których wszystko do nas mówiło: pozostaw nadzieję, pozostaw złudzenia. Gdy więc myślę o tym, jak my, zaczynając nowe osobiste życie, biegliśmy szlakiem kadrówki od Krakowa do Kielc, to stwierdzam prawdę dla mnie niezbitą:

Szliśmy szlakiem, którym szli ongiś ojcowie i dziadowie nasi, szliśmy, mając przed sobą, jak to teraz już wiemy, historyczne życie świetniejsze, niż oni, lecz mieliśmy zorze ciemniejsze, niż oni. I uluda cieni i światła w naszych zorzach gorzsy nam los wrożyła, niż ten, który był ich udziałem. Ludzić się mieli więcej oni prawo, niż my, panowie.

Tyle wspomnień nawiały na mnie Kielce. Pierwsze nasze kroki, pierwsze kroki wojny, niepewność losu, niepewność prawd, które nieśliśmy ze sobą.

Proszę pań i panów, oddałem dań prawdzie historycznej, którą mamy za sobą. Niech mi wolno będzie podnieść jeszcze inną stronę prawdy historycznej, związanej z nami i naszymi przeżyciami. W odczytach moich dotykałem często najrozmaitszych stron naszych przeżyć i naszych prawd, które nieśliśmy Polsce. Próbowałem oświetlić problem prawdy historycznej polskich Legionów w najrozmaitszy sposób. Dziś chcę dotknąć jednej prawdy, którą ledwie zarysowałem w dawnych moich odczytach o Legionach. Prawdy o odwadze myśli i odwadze metod pracy.

Gdy jakaś rzecz nowa się dzieje, rzecz nowa się staje, musi ona mieć przedtem myśl, która przeczy temu, co było. Dlatego jest nową, dlatego jest inną, niż te prawdy, które się przedtem wyznawało. I gdy się myśli o nowych prawdach, które zjawiały się na świecie nie tylko u nas, lecz wszędzie, zawsze przyjść trzeba do jednego i tego samego przekonania, że dla niesienia nowych rzeczy trzeba umieć odważnie myśleć, trzeba umieć przeskoczyć przez każdą przeszkodę myślową.

Myśl bowiem ludzka opiera się na tym, co jest. Jutro ma być podobne do wczoraj, wczoraj ma być tylko małą przeszłością naszego dzisiaj. Na tym polega przeciętna, codziennie wyznawana prawda. Chcąc mieć myśl nową, trzeba przeskoczyć przez te przeciętne prawdy. Do tego trzeba odwagi myśli. Napoleon, jeden z bardzo wielkich ludzi i myślicieli zarazem, twierdził, że sztuka łamania przeszkód jest bardzo prosta, a łamał on wielkie przeszkody w swoim życiu. Nie trzeba tylko — mówił on — uważać przeszkody za przeszkody. Ten sposób łamania przeszkód przez nieuważanie czegoś za przeszkodę, stanowi podstawę odwagi myśli.

I my, wnosząc nowe rzeczy w życie Polski, stając się nowatorami, musieliśmy mieć w sobie tę odwagę myśli dla przekraczania prawd istniejących w naszym środowisku, prawd powszechnie wyznawanych, prawd przeciętnych. Musieliśmy sobie powiedzieć, że nie będziemy uważali czegoś za przeszkodę, by te przeszkody przeskoczyć. Była w nas ta odwaga myśli, która rozpoczyna życie inne, życie nowe

I jeżeli w naszej awantur girlandzie doszliśmy do tak niezwykłych wyników, to sędzę, że prócz odwagi myśli, prócz przeskakiwania przeszkód, których nie uważaliśmy za przeszkodę, mieliśmy również i odważną pracę. Cztery nasze długie lata, przez które przeszliśmy, nim, pomimo złowróżebnych oznak na niebie i ziemi, ujrzeliśmy słońce wschodzące, miały za sobą odwagę nie tylko myśli, ale również i odwagę pracy. Bez tego nie moglibyśmy tych czterech lat przeżyć, nie moglibyśmy przetrwać wobec tylu przeszkód, które spotkaliśmy na drodze.

Mamy więc za sobą i odwagę myśli i odwagę pracy — czynniki, które dają zawsze nowe życie, nowy sposób ujęcia prawd ludzkich, dotąd wyznawanych. Z prawdziwą przyjemnością stwierdzą zawsze tę naszą odwagę myśli i odwagę pracy wszyscy, którzy z nami w historii do czynienia będą mieli. Nielatwo bowiem było przejść tę pracę, którą przechodziliśmy. Stawiano nam przeszkody zewsząd. Stawiali nam je swoi i obcy. Stawiało nam je życie na każdym kroku. Żyliśmy bowiem w chwilach ciężkich zmagania się dziejowych, przy których utracić głowę jest bardzo łatwo. Przetrwać cztery lata w tym zmaganiu się było rzeczą niełatwą i trzeba było mieć dużą odwagę metody pracy, żeby to uczynić.

Tworzyliśmy więc nowe prawdy, odważnie myśląc i odważnie pracując. Tą syntezą, moi panowie, nieraz bawiłem się, gdy myślałem o swojej i waszej przeszłości. Bawiłem się zaś nie dla czego innego, jak tylko dlatego, że żyliśmy i ży-

jemy w pokoleniu, które odwagę myśli i odwagę pracy mało ceni. Społeczeństwo, wychowane w prawdzie niewoli, gdzie odwagę karano zewsząd, społeczeństwo, które po długo i ciężko nabytym doświadczeniu nie chciało wierzyć w żadne zorze i czyniło prawdę nocy stałą i nieustanną — to społeczeństwo zatraciło bardzo silnie odwagę myśli i odwagę pracy.

Jeżeli powrócę do swoich wspomnień myśliwskich, to powiedziałbym, że społeczeństwo polskie przypominało mi zawsze kacze towarzystwo, zbierające się w rodzinnym błotku. Kaczki, jak wiadomo, przelatują w czasie zórz. W ciągu dnia siedzą w jednym miejscu w obawie przed drapieżnikami dziennymi. A że kaczki są żarłoczne, więc wyjadają koło siebie prawie wszystko i czekają z niecierpliwością nadejścia zórzy, by przelecieć na inne miejsce i znaleźć nowe pożywienie.

Siedząc podczas zórz na zasadzce w oczekiwaniu przelotu ptaków, wyobrażałem sobie zawsze, że napewno w rodzinnym błotku kaczki gdakają nie w inny sposób, a w taki: «Wylecieć trzeba ani za wcześnie, ani za późno, a akurat w swojej porze. Ten, kto wyleci wcześniej, zginąć niechybnie musi. Dlatego też lepiej zawsze jest czekać».

Oto rozum stanu, najmądrzejsza prawda, jaka istnieć może. W ten sposób zachowuje się i drogocenne życie i prawdy rozumne tryumfują. I gdy jakaś niecierpliwa kaczka czy kaczor rozwijał skrzydła, bo nie mógł już wysiedzieć, gdały inne kaczki poważnie: «Zginie, na pewno zginie, wyleciał za wcześnie».

Ta prawda, do której dochodziłem, myśląc o społeczeństwie polskim hen, jeszcze kiedyś na Syberii, trwało we mnie ściśle, nieuchronnie i nieodwołalnie podczas mego całego długiego życia. Szła ona za mną wiernie krok w krok po szlakach kadrówki, spotkała ona mnie w Kielcach, jak w innych grodach Polski, gdy razem z Legionami wędrowałem po niej, jak szeroka i długa. Wierna towarzyszka myśli, wierna towarzyszka pracy mojej i waszej.

Gdały o nas poważne kaczozy, gdały poważne kaczki, kiwając smutnie głowami i ucząc młode kacząta, żeby nie szły w ślady tych półrozumnych ludzi. W błocie brakowało pożywienia, nie przeszkadzało to jednak nigdy gdakać dalej.

Prawda ta, wychowana przez długie okresy niewoli, przez niemoc wewnętrzną, którą społeczeństwo polskie przeżywać musiało w niewoli — prawda nocy, gdy słabe stworzenia boją się silniejszych, — prawda ucieczki od dnia, od jasnego słońca, gdyż na niebie był drapieżnik, dwugłowy ptak o olbrzymiej mocy szponów i dzioba, — prawda niemocy i słabości była

zawsze tchórzliwą. Nie starała się nawet odwagi myśli i pracy zdobywać, szukając nieraz potępienia dla tych, co odważnie myślą lub odważnie pracują.

Gdy więc, moi panowie, przebyliśmy drogę, odważnie myśląc i odważnie pracując, wylatując akurat zawczasie, a nie za późno, czyniąc wszystko wbrew prawdom, które wyznawano, i gdy przeżyliśmy dotychczas dobrych kilka lat Polski — to chciałbym na naszym przykładzie stwierdzić, że nie zawsze prawda odważnej myśli i odważnej pracy kończy się tak źle, jak ludzie w Polsce przypuszczają. Skończyła się ona bowiem, jak to panowie doskonale wiecie, dla wielkiej ilości legionistów względnie bardzo dobrze. Choć przyzwyczajeni jesteście do skarg, do utyskiwania na los i na wszystko, bo do tego nawykliście podczas legionowego życia, nie możecie nie stwierdzić, że jednak przez wejście do Legionów osiągnęliście względnie bardzo dużo.

Nasz przykład prawdy o odważnych myślą, o tych, którzy wchodzili w zorze pomimo złud wielkich przez ojców naszych i dziadów przeżytych, o tych, którzy potrafili w zorzach wieczornych szukać światła, a zorze poranne przejść z odważną pracą — jest dowodem i stwierdzeniem dla wszystkich, że odważnie myśleć i odważnie pracować jest nieraz lepiej, niż gdać w błotku.

PRZEMÓWIENIE W NIEŚWIEŻU

(25 października 1926 r.)

W czasie wyprawy kijowskiej w bitwie z bolszewikami pod Malinem poległ dnia 28 kwietnia 1920 r. mjr. Stanisław Radziwiłł, adiutant Naczelnego Wodza.

Dnia 25 października 1926 r. odbyła się w Nieświeżu uroczystość dekorowania przez Piłsudskiego sarkofagu mjr. Radziwiłła złotym krzyżem «Virtuti militari».

Po tej uroczystości Albrecht Radziwiłł na obiedzie wydanym przez siebie na zamku w Nieświeżu wygłosił toast na cześć Piłsudskiego. W odpowiedzi Piłsudski wygłosił niżej przytoczone przemówienie.

Podajemy je według «Czasu» z dn. 29 października 1926 r.

Stare to zamczysko mówi nam, jak śmierć i życie spletały się z sobą w pracy nad tymi murami. Miałem adiutanta, który z tego pochodził gniazda, i niewątpliwie duch Stanisława